



Michał Sokołowski (ur. 1924)

Inżynier MICHAŁ SOKOŁOWSKI

(ur. 1924)



Michał Sokołowski urodził się w 1924 roku. Jest inżynierem leśnictwa, pracował na terenie Toruńskiej Dyrekcji Lasów Państwowych od kwietnia 1945 roku do 31 grudnia 1983 w tym, w służbie terenowej 30 lat na stanowiskach: sekretarza, leśniczego administracyjnego, adiunkta i nadleśniczego w nadleśnictwach: Leśno (obecnie Golub-Dobrzyń), Świekatówko (obecnie Zamrzenica), Klosnowo (obecnie Ryteł), Gołąbki i Ruda (obecnie Brodnica).

Z dniem 1 stycznia 1984 roku przeszedł na emeryturę ze stanowiska naczelnika wydziału Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Toruniu, po czym pracował tam jeszcze przez rok w niepełnym wymiarze godzin. Stanowi to łącznie 39 lat pracy na rzecz polskich lasów Pomorza i Kujaw.

Z zamiłowania zajmuje się historią leśnictwa, łowiectwem, historią regionów, genealogią rodziny, dziejami ziem polskich Kresów Wschodnich, krajoznawstwem i turystyką. Był działaczem Naczelnej Organizacji Technicznej, Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa, PTTK, w tym ponad dziesięć lat, już jako emeryt, był miejskim i regionalnym przewodnikiem turystycznym PTTK w Toruniu. Jako amator fotografik zgromadził pokaźne zbiory zdjęć ze swego życia rodzinnego, zawodowego, przyrody i turystyki.

Na wymienione wyżej tematy napisał ponad 150 opracowań i artykułów, z których większość publikowana była w periodycznych wydawnictwach krajowych i lokalnych. Jest współautorem opracowanej przez Regionalną Dyrekcję Lasów Państwowych w Toruniu w roku 2005 „Martyrologii leśników Pomorza i Kujaw w okresie 1939-1956”. Jest również autorem wybranych tekstów w książkowej edycji „Dziejów Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu 1925-2010”, wydanej w roku 2010 z okazji jubileuszu 85-lecia utworzenia Dyrekcji.

Wśród posiadanych odznaczeń honorowych znajdują się m.in.: Kordelas Leśnika Polskiego, a ponadto: „Złom” i Medal Świętego Huberta - nadane przez Polski Związek Łowiecki, Złota Odznaka Honorowa SITLiD, Złota Odznaka Honorowa PTTK.

Pozostając na emeryturze, utrzymuje bieżący kontakt z Dyrekcją i kolegami leśnikami w terenie.

Tadeusz Chrzanowski

Toruń, we wrześniu 2018 roku

PRZEŻYŁEM Z LASEM TYLE LAT (fragmenty zapisków)

Jest piątek, 20 kwietnia 1945 roku. Siedzę w kępie przydrożnych krzaków na przedmieściu Płocka, unikam ludzi, ich spojrzeń i rozmów. A jeszcze przed paroma dniami byłem normalnym chłopcem, pełnym planów i zamierzeń. Wszak to w ubiegłą niedzielę, gdy odwiedziłem rodziców w Duninowie, zjawily się te ciężarowe samochody z żołnierzami z czerwoną gwiazdą na czapkach. Nasi miejscowi – lekceważeni dotąd – „tajni” milicjanci wiedli przybyłych Rosjan do wskazanych według listy domów, skąd zabierano mężczyzn i pakowano na samochody. Ja byłem wówczas u znajomych dziewczyn w innym krańcu wsi, a wracającego ostrzegła mnie siostra z wieścią, że gdy mnie ani brata w domu nie zastano zabrali Ojca. Dlaczego? Po co? Potem okazało się, że była to jednorazowa akcja wywożenia przedstawicieli inteligencji podejrzanych o współpracę z Armią Krajową. NKWD wraz z UB aresztowało wtedy kilkadziesiąt osób z okolicy. Przede wszystkim nauczycieli, urzędników itp. - resztki tego, co zostało tu jeszcze po niemieckiej dyskryminacji.

DO DOMU JUŻ NIE WRÓCIŁEM

Noc przesiedziałem w stogu trzciny nad Wisłą. O świcie przygodny rybak przewiózł mnie łodzią na drugi brzeg Wisły. Tam znalazłem schronienie u znajomego rolnika. Nic im nie mówiłem o powodach ukrywania się. W radosnej atmosferze powrotu wolności, jeszcze nic lub bardzo niewiele, wiedziano w tych stronach o represjach ze strony nowych władz wobec ludzi podejrzanych o udział w ruchu oporu. Otrzeźwienie przyszło później, gdy UB rozwinął w pełni swą działalność przeciw Polakom. W tym pierwszym okresie wyszukiwano głównie ukrywających się gdzieniegdzie Niemców i kolaborantów.

Tymczasem rodzina rolnika – o nic nie pytając – podejrzliwie na mnie spoglądała, budziłem co najmniej nieufność. Po kilku więc dniach, pożegnałem doraźny azyl i udałem się do Płocka z zamiarem wyjazdu dokądkolwiek, jak najdalej. Niemcy potrafili skutecznie ścigać takich zbiegów, sądziłem, że i Rosjanie mogą mnie dopaść. A więc jak najdalej stąd! Z rozmowy z kolejarzem wynikało, że rano wyruszy pociąg osobowy bezpośrednio do Torunia. Jest to najprostsza możliwość usunięcia się dość daleko od tych stron. Czekam więc w pobliżu stacji Płock-Radziwie na ów poranny pociąg. Na przedwieczornym niebie przelatują roje samolotów wzdłuż Wisły. Wszystkie na wschód. Nie wiedziałem o rozpoczętej przed paroma dniami potężnej ofensywie na Berlin. Samolotów były setki – chyba ewakuowały rannych. Do samego zmierzchu niósł się nade mną szum silników. Dłużą się nocne godziny. Zimno. Mam na sobie tylko lekkie okrycie, a w rękę teczkę z zapasem tytoniu samosiejki i odrobinę chleba. Myślę, co dalej począć

z sobą? Trzeba się gdzieś ulokować i podjąć pracę. Kwalifikacje mam więcej niż skromne. Podczas okupacji pracowałem jako robotnik leśny w Duninowie, potem w tamtejszym biurze leśnym. Jako syn leśniczego jestem obyty z lasem od dziecka. Przed wojną uczyłem się przez trzy lata w gimnazjum w Płocku. Obecnie – po „wyzwoleniu” – kontynuowałem przez dwa miesiące wieczorną naukę w tymże gimnazjum, w dzień zaś nadzorowałem grupę robotników budowlanych jako pracownik magistratu. Dawało mi to możliwość zakwaterowania i stołówkowe wyżywienie, było jednak bardzo wyczerpujące i po dwóch miesiącach takiego trybu życia czułem się źle, niedożywiony i niedospany. Wiedziałem, że muszę to zmienić. Wypadki ubiegłej niedzieli przyspieszyły tę zmianę. A że ze wszystkich zawodów lub branż jedynie leśnictwo było mi dość bliskie, więc tam chyba trzeba mi się skierować. Tak rozmyślając i do tych kalkulacji włączając Toruń, przypomniałem sobie, że była tam przed wojną dyrekcja lasów i pracowałem w niej dobry znajomy Ojca, przyjaciel rodziny, były nasz nadleśniczy z Łącka, inż. Teodor Meissner.

Gdy więc drząc w porannym chłodzie wsiadałem do wagonu z tabliczką „Płock – Toruń”, miałem już w głowie zarys planu – odszukać inż. Meissnera (może już powrócił po wojnie do Torunia) i z jego pomocą zaszyć się gdzieś w lasach pomorskich. W godzinach południowych dotarłem do Torunia.

PRYZSTANEK TORUŃ

Po dotarciu do dyrekcji lasów zastałem naszego znajomego i to na wysokim stanowisku szefa Biura Organizacji i Inspekcji. Przypomniawszy sobie Łąck, moich rodziców i nawet mnie, chociaż widywał mnie wówczas dzieckiem. Zajął się mną z całą gorliwością, rekomendując szefowi Biura Kadr. Widząc moją lichą kondycję, zafundował obiad w związkowej stołówce, po czym wręczył mi skierowanie do bezpłatnej kwatery na mieście, przy rodzinie, której „głowa” nie wróciła jeszcze z wojska niemieckiego. Pani domu była – jak większość polskiej ludności miasta – mocno wystraszona, nie wiedząc, jak powojenne władze potraktują obywateli, którzy gremialnie przyjęli tzw. „III grupę narodowości niemieckiej”, obawiali się szykan i represji.

Musiałem czekać na skierowanie mnie do któregoś z nadleśnictw. Kwatery była, groził mi natomiast głód wobec całkowitego braku pieniędzy, a sprawa uzyskania skierowania przeciągała się cały tydzień. Ze stołówki związkowej nie mogłem korzystać, bo tam trzeba było – choć niewiele – płacić. Jadałem przeto darmowe zupki w kuchni prowadzonej przez PCK dla powracających uchodźców. Były wodniste i czcze.

Muszę tu podkreślić bardzo aktywną działalność Związku Zawodowego Leśników przy Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu, który prowadził stołówkę, internat dla dzieci szkolnych z jednostek terenowych, pokoje noclegowe itp.

W tym czasie bardzo wielu leśników przybywało do Torunia. Jedni wracali na swe dawne stanowiska, inni – głównie z Kresów – szukali miejsca dla siebie w nowych stronach, jeszcze inni wracali z obozów jenieckich i z pracy przymusowej. Każdy znajdował tu życzliwe przyjęcie, doraźną opiekę i skierowanie do pracy.

Codziennie wysiadywałem pod drzwiami Biura Kadr, po czym szedłem na zakupkę i zwiedzanie miasta. Nasłuchałem się wielu opowiadań o przygodach wojennych i przeżyciach leśników z różnych stron, którzy – jak ja – oczekiwali na skierowania. W sobotę, 28 kwietnia 1945 r. otrzymałem je.

SKIEROWANIE DO NADLEŚNICTWA LEŚNO

Leśno jest oddalone około 40 km od Torunia. Dojechałem tam późnym popołudniem pociągiem wojskowym na skrzynkach po amunicji. Ze stacji Kowalewo było jeszcze do przebycia pieszo około 11 km. O szarówce wkroczyłem na podwórze osady nadleśniczego. Zaraz też zostałem przez przyszłego szefa doraźnie przeegzaminowany, wprowadzając go w zakłopotanie. Spodziewał się kandydata o lepszej przydatności do zawodu. W końcu westchnął i orzekł: „Spróbuje Pan tu sekretarzować”.

Z przybyciem do Leśna skończyła się moja niedola. Trafiłem do dobrych, serdecznych ludzi. Nadleśniczy inż. Władysław Śliwiński i jego żona Celina zajęli się mną, nakarmili, dali pokój z czysto zaściętym łóżkiem – pełny komfort! Byli to zacni ludzie, żyliśmy we wzajemnej przyjaźni przez wiele lat. On, przedwojenny nadleśniczy, pochodził z Wejherowa i miał w sobie wiele z twardego charakteru Kaszuba, lubił porządek, był stanowczy i konkretny. Ona, magister farmacji, pochodziła z Łodzi, była miłą, serdeczną i przy tym gospodarną. Przeżyliśmy razem wiele, organizując nadleśnictwo i nasz własny byt. W osadzie było już kilka krów, drób, a nieco później pojawił się i koń, jako że nadleśniczy był oficerem rezerwy kawalerii i nade wszystko uwielbiał konną jazdę. W owym czasie w nadleśnictwie dosłownie roilo się od szczurów. Przez dwa zimowe miesiące stacjonował tam oddział wojsk sowieckich i pozostawił po sobie stosy odpadków kuchennych, na której to pożywce rozmnożyły się szczury w kłęskowym zgola wymiarze. Po pewnym czasie żona szefa (farmaceutka przecież) przywiozła z Łodzi jakąś truciznę, która w radykalny sposób problem ten rozwiązała.

Następnego dnia, po moim przybyciu do Leśna szef zdecydował, że skoro zamierzam tu osiąść i podjąć pracę, to muszę przecież coś mieć do urzędujenia się. A ja miałem tylko to, co na sobie i podartą teczkę. Kazał mi więc jechać do domu po niezbędne wyposażenie. Nie zwierzyłem się mu, że czuję się ściganym i nie bardzo mogę pokazywać się w okolicy domu. Pojechać jednak musiałem i wyruszyłem pociągiem przez Toruń do Płocka i stamtąd pieszo (15 km) do Duninowa. Szedłem bocznymi drogami i lasem. Pod dom dotarłem przed wieczorem i czekałem do zmroku ukryty w krzakach. Potem ostrożnie podszedłem pod

okno i usłyszałem z wewnątrz głos Ojca. A więc wrócił! Powitaniem i radości nie było końca. Okazało się, że Ojca zawieziono do NKWD do Łodzi, a tam nikt nie miał pojęcia, po co i dlaczego? Po tygodniu przesłuchiwań polegających na ustawicznym powtarzaniu życiorysu i groźeniu, puścili Ojca do domu. Wówczas wydawało nam się to normalne i oczywiste, bo przecież nie popełnił nic takiego, za co mógłby być więziony. Dzisiaj widzę, że było w tym wiele szczęścia i opieki Boga, przecież wiele tysięcy niewinnych ludzi katowano i wywożono do Rosji na śmierć z katorżniczej pracy i głodu. Rodzice martwili się o mnie, nikt nie wiedział, gdzie się podziewam. Ojciec był w złym stanie psychicznym. Pobyt w więzieniu – aczkolwiek niedługi – źle wpłynął na jego nerwy. Spakowali mi kołdrę, poduszkę, odzież i nieco pościeli, jak też inne najniezbędniejsze rzeczy. Zaraz następnego dnia, wynajętym wózkiem konnym wyruszyłem do stacji kolejowej w Płocku i znanym szlakiem przez Toruń do Leśna, tym razem z dość okazałym bagażem w rękach i na plecach. Do nadleśnictwa przyjęto mnie na

OBOWIĄZKI SEKRETARZA

Nie miałem pojęcia o tej pracy. Jako syn leśniczego byłem obeznany z lasem, jednak nigdy nie interesowałem się poważnie leśnictwem, nie wiązałem z tym



Spotkanie towarzyskie grupy pracowników Nadleśnictwa Leśno latem 1946 roku. Od lewej: leśniczy Witold Ostoja-Rogowski, nadleśniczy Władysław Śliwiński (Schoennagel) z żoną Celiną. Od prawej: gajowy Józef Kociński, sekretarz Michał Sokołowski, kasjer Golusiński, gajowy Stefan Ramlau. Fot. archiwum Michała Sokołowskiego

zawodem przyszłości. W czasie okupacji, co prawda pracowałem jako robotnik leśny, dozorca przeciwpożarowy i kancelista w biurze zakładu, ale były to czynności proste. A teraz należało być czymś w rodzaju „szefa sztabu” i dyrygować pracą biura (pięciu osób) oraz koordynować działania sześciu leśniczych, w większości starych fachowców. A do tego papierki, sprawozdania, korespondencja, księgi buchalteryjne itp. Wiele nocy spędziłem, studiując zachowane przedwojenne instrukcje, dokumenty i urządzenia księgowo-urzędnicze. Jakoś wybrnąłem z tego wszystkiego i już po miesiącu potrafiłem swoje obowiązki wypełniać w miarę zadowalająco, a z czasem nabrałem wprawy i już swobodniej obracałem się w tym otoczeniu.

Mieszkałem w przydzielonym mi służbowym budynku w osadzie nadleśnictwa, składającej się z pięciu zagród położonych malowniczo wzdłuż leśnej rzeczki i otoczonych zewsząd pięknym lasem. Najbliższym sąsiadem osady był młyn wodny „Kałdunek” położony w odległości jednego kilometra, również bardzo malowniczo, wręcz romantycznie wyglądający nad stawem i rzeczką wśród lasu. Okolica była prześliczna, zwłaszcza w maju, w pełnym rozkwicie wiosny.

W zajęтым przeze mnie budynku, uprzednio przez kilka miesięcy kwaterował oddział wojsk sowieckich. Funkcjonowały tam zamaskowane w lesie samochodowe warsztaty naprawcze. Pokoje były potwornie brudne, ściany zakopcone na czarno. Po pewnym czasie udało mi się to uporządkować i wybielić. Mieszkał tam ze mną pracownik biura nadleśnictwa, Polak z Łotwy, pan Wodejszo. Po uwolnieniu się z gehenny obozu koncentracyjnego w Stutthofie przechorował tyfus, a obecnie chciał nieco odetchnąć po tych przejściach i nabrać sił przed powrotem do swej Rygi, gdzie została jego rodzina. Był to bardzo porządny człowiek, cichy i spokojny. Świetnie znał język rosyjski i cierpliwie pośredniczył podczas naszych służbowych i prywatnych kontaktów z Rosjanami, którzy nader często nas odwiedzali, przyjeżdżając po drewno dla swych celów. W końcu lata 1945 roku odżywiony i przyodziany ruszył p. Wodejszo w swoje strony. Dostałem od niego kartkę wysłaną z Brześcia nad Bugiem, w której donosił, że raz już „siedział” po drodze. Był to ostatni znak od niego.

Posiłki przyrządzała nam żona byłego pracownika nadleśnictwa, przebywającego obecnie w Anglii, gdzie znalazł się w Wojsku Polskim jako były jeńiec z armii niemieckiej. Niewiasta ta, energiczna i krzykliwa, mieszkała z dwojgiem dzieci w sąsiednim budynku.

Z perspektywy lat i doświadczeń bardzo pozytywnie oceniam troskę władz leśnych o zapewnienie podstawowych warunków bytowych dla ludzi podejmujących pracę w ówczesnych warunkach. Wynagrodzeniem były kwoty wręcz symboliczne, zresztą gotówki było jeszcze mało w obiegu, a ludziom należało dać możliwości życia. Problem ten władze rozwiązały w osobliwy, lecz skuteczny sposób. Obowiązywały dwa cenniki na drewno, jeden tzw. komercyjny i drugi

„na potrzeby własne”. Ten drugi był dziesięciokrotnie niższy od komercyjnego. W jednostkach terenowych szefowie powoływali tzw. komitety zaopatrzenia. Organy te mogły za zebrane od pracowników pieniądze kupować drewno użytkowe lub opałowe po niskich cenach i wymieniać je na produkty spożywcze w relacji cen komercyjnych. Specjalne listy produktów określały, ile czego należało się pracownikowi w ciągu miesiąca. System ten działał bardzo sprawnie. Okoliczna ludność rolnicza potrzebowała drewna, zwłaszcza użytkowego. Chłopi przywozili więc mąkę, ziemniaki, tłuszcze, drób i mięso, nieraz w postaci jeszcze żywej! Wszystko to dzielono zgodnie z normami. Rozliczenia sporządzał komitet w formie protokołów. Oczywiście nie robiliśmy z tego „apteki”, ale daleko było do grubszych nadużyć. Działalność ta trwała bodaj do wiosny 1946 roku, gdy przybył inspektor obwodowy, przejrzał akta i „rozgrzeszył” działalność komitetu.

NADLEŚNICTWO LEŚNO

Powierzchnia nadleśnictwa wynosiła wówczas około pięciu tysięcy hektarów podzielonych na pięć leśnictw: Gronowo – lasy przejęte z byłej własności prywatnej, leśniczy Witold Rogowski – absolwent Szkoły Leśnej w Żywocicach, Kępa – leśniczy Chrostowski, przybyły z Polski centralnej, Strębacznno – tu powrócił przedwojenny leśniczy Tadeusz Babirecki „Margonińczyk”, Drwęca – przedwojenny leśniczy Witold Bielecki, Paliwodziczna – leśnictwo położone po drugiej stronie Drwęcy w tzw. Kongresówce – leśniczy Edward Tułodziecki, przedwojenny. Było też osobno położone uroczysko Jasionka, kilkadziesiąt hektarów lasu należącego do rodziny ziemiańskiej Ramlau. Tam pracował jako gajowy syn właściciela majątku, inżynier leśnik z ukończoną przed wojną SGGW. Po pewnym czasie inż. Andrzeja Ramlau’a przeniesiono na ziemie odzyskane, a funkcję gajowego objął jego młodszy brat, Stefan Ramlau. Zatrudnionych było też kilku gajowych.

Leśniczowie prezentowali dość wyrównany, dobry poziom fachowy i intelektualny. Dwie osady leśne zajęte były przez rodziny leśników przebywających na wojnie w armii niemieckiej. Rodzin tych nie szykanowano, musiały one jedynie przyjąć do części pomieszczeń rodziny nowo przybyłych i aktualnie zatrudnionych pracowników. Lasy były w dobrym stanie, drzewostany zdrowe, spory udział starszych klas wieku. Przewaga dobrych siedlisk borowych. Nieźle utrzymane drogi, osady częściowo telefonizowane. Nie widziałem wyraźnych śladów rabunkowej gospodarki okupanta. W lipcu przybyła z Dyrekcji kilkusobowa grupa fachowców, którzy przez parę tygodni lustrowali drzewostany, opracowując tymczasową tabelę klas wieku, doraźny plan cięć i odnowienia, szacując przy tym straty gospodarcze z okresu wojny. Nie znam wyników owej lustracji, nie sądzę jednak, by odnotowano znaczniejsze szkody.

W miarę upływu czasu poznawałem coraz lepiej tajniki zawodu i coraz swobodniej obracałem się w tym świecie. Praca pochłaniała mi masę czasu. Bywałem



Grupa pracowników Nadleśnictwa Leśno w 1946 roku. Od lewej: sekretarz nadleśnictwa Michał Sokolowski, leśniczy Witold Bielecki, gajowy Aleksander Szatański, poniżej leśniczy Witold Rogowski, leśniczy Ostoja-Rogowski, gajowy Stefan Ramlau, rachmistrz Leon Sekuła.
Fot. archiwum Michała Sokołowskiego

czynny od świtu do nocy, i w biurze, i w terenie, dokąd często wysyłał mnie szef z różnymi poleceniami dla leśniczych. Po zakończeniu wiosennych sadzeń dokończyli oni inwentaryzację zapasów wyrobionego w lesie drewna pozostałego po okupacji. Zwykle zostawiali sobie pewien „marginę” na pokrywanie ubytków wynikających z kradzieży i notorycznego zabierania drewna przez wojsko sowieckie. Należało dopilnować, aby owe „zapasy” mieściły się w granicach przyzwoitości. Trzeba tu podkreślić powszechną uczciwość personelu – nikt nie zamierzał wykorzystywać sytuacji dla bogacenia się. Pracowaliśmy w najlepszej wierze dla wspólnego dobra, z myślą o najszybszym przywróceniu normalności. To była wówczas cecha nie tylko leśników. Wszyscy ruszyli z entuzjazmem do odbudowy i rozbudowy kraju, nie patrząc na wynagrodzenia i nie żałując trudu. U mnie minął też strach przed ściganiem za winy niepopłacone. Nikt się mną tu nie interesował. (...)

Jakoś pod koniec czerwca 1945 r. pewnego wieczoru przybył do nadleśnictwa kilkusobowy oddziałek wojskowy, przedstawiając się jako patrol tzw. Wojskowej Ochrony Lasów, skierowany do Leśna przez Dyрекcję Lasów Państwowych w Toruniu. W owym czasie lasy były chronione przed kradzieżami przez wydzielone w tym celu oddziały Wojska Polskiego. Gdy zapadła noc, żołnierze owi zażądali pieniędzy z kasy nadleśnictwa, oświadczając, iż są oddziałem partyzanckim. Gdy nadleśniczy tłumaczył, że klucz od kasy ma kasjer dojeżdżający codziennie z odległej wsi – wyłamali bagnetem drzwiczki biurka (tam miała być owa kasa) i znaleźli kopertę zawierającą 2 tys. zł oraz kartkę określającą, że jest to cały zapas gotówki na koniec dnia. Zabrali te pieniądze, kwitując ich odbiór na kopercie, a podpisał – jak pamiętam – „plutonowy Zryw”. Nasz kasjer, pan Goluśński – spodziewając się takiej sytuacji – codziennie preparował ową kopertę z zawartością niewielkiej kwoty, podczas gdy właściwy zapas gotówki – nieraz dość znaczny – lokował w korytarzu na szczycie wysokiego piec kaflowego. U nas zakończyło się tylko na zabraniu stosunkowo niewielkiej kwoty pieniędzy, ale w sąsiednim Konstancjewie nadleśniczy został dotkliwie pobity przez tych samych wojaków, gdy usiłował telefonować po pomoc.

Przez cały okres mojego pobytu w Leśnie nieraz było słychać o działaniach oddziałów leśnych, o walkach toczonych z milicją i UB, była też silna penetracja miejscowych środowisk przez agentów tych władz, podających się również za członków band. Spotkało i mnie którejś nocy w jesieni 1945 roku takie najście. Na szczęście zorientowałem się w porę i z samego rana zgłosiłem incydent na posterunku milicji w Kowalewie, gdzie już czekali, czy ja ten fakt zgłoszę.

(...) Latem 1946 roku ożeniłem się i do mieszkania w Leśnie

PANNA Z MIASTA

Latem 1946 roku ożeniłem się i do mieszkania w Leśnie wprowadziłem „pannę z miasta”. Moja żona bardzo szybko przystosowała się do wiejskiego życia



„Latem 1946 roku ożeniłem się i do mieszkania w Leśnie wprowadziłem pannę z miasta”. Leśniczy Michał Sokołowski z żoną Kornelią na zdjęciu ślubnym. Fot. archiwum Michała Sokołowskiego



Leśniczy Michał Sokołowski z żoną Kornelią i czworgiem dzieci w Świątkówku latem 1956 roku.
Fot. archiwum Michała Sokołowskiego

i gospodarskich zajęć. Mieliśmy już wtedy własną krowę i nieco innej „żywnizny”. Był też pies, srogi wilczur. Na skrawku pola deputatowego posadziłem ziemniaki. Następową stopniowa stabilizacja i w pracy i w domu.

Jesienią 1946 roku przestało być w Leśnie przyjemnie. Nasz szef nie posiadał umiejętności właściwego na owe czasy podejścia do ludzi, popadł w konflikty i stał się przedmiotem donosów do UB. Przypisano mu różne winy i w końcu aresztowano. Było powszechnie wiadomo, że pozostawałem z nim w przyjaźni, więc i ja poczułem się zagrożony. Przystałem pracować pod pozorem choroby (były wówczas tzw. urlopy zdrowotne) i siedziałem w domu, rozważając, dokąd by się przenieść. Nasz inspektor obwodowy, niezapomnianej pamięci inż. Stanisław Strzemeski, który bardzo nas lubił, doradził mi przeniesienie do Nadleśnictwa Świekatówko, położonego w powiecie świeckim, około 35 km na północ od Bydgoszczy. Tam wakowała akurat posada sekretarza. W styczniu 1947 r. pojechałem obejrzeć nowe miejsce i bardzo mi się tam podobało. Zaraz też złożyłem podanie do dyrekcji i wkrótce potem nadszedł dekret o przeniesieniu z przeprowadzką na koszt państwa, a więc warunki bardzo korzystne. Z powodu pory zimowej, a zima była wtedy ostra, nie mogłem się natychmiast przeprowadzić. Do końca marca pracowałem w Świekatówku, mieszkając i stołując się u nadleśniczego, inż. Franciszka Kozieła, gdzie zostałem przyjęty bardzo gościnnie, również przez jego żonę. Do Leśna jeździłem w soboty po południu, a że dojazd był daleki i z dwiema przesiadkami, a potem jeszcze pieszo 10 km do stęsknionej żony docierałem późnym wieczorem. A w poniedziałek o świcie znowu do Świekatówka.

Nadleśniczego Śliwińskiego zwolniono wkrótce z aresztu i uniewinniono z zarzutów. Nie wrócił jednak do Leśna, lecz objął inne nadleśnictwo w naszej dyrekcji. Zachowaliśmy nawiązaną w Leśnie przyjaźń i utrzymywaliśmy kontakty przez długie lata.

PRZEPROWADZKA

Przeprowadzka do Nadleśnictwa Świekatówko nastąpiła w końcu marca, wagonem kolejowym z krową, drobiem, psami, sianem i ziemniakami. Chyba najmniej miejsca w wagonie zajęły meble i sprzęt domowy. Podróżowaliśmy trzy dni z częstymi postojami i przetaczaniem wagonu na dworcach. Na stacji docelowej w Bruchniewie czekały na nasz wagon wozy konne przygotowane przez miejscowych leśniczych. Wyładunek i przewiezienie poszły szybko i wkrótce byliśmy zainstalowani w nowym mieszkaniu.

Osada była piękna, wybudowana kilka lat przed wojną, a więc nowa. W budynku mieszkalnym mieściły się biura nadleśnictwa, nasze mieszkanie służbowe (trzy pokoje, kuchnia, korytarz, łazienka) oraz na piętrze dwupokojowe mieszkanie dla pomocnika kancelaryjnego. Do tego duży ogród z sadem nieogrodzonym, co

prawda – podwórze, stodoła, obora, drewniki itp. Prądu elektrycznego nie było. Wodę nosiło się wiadrami ze studni, rzecz zwykła, normalna. Trzysta metrów dalej była osada nadleśniczego, a jadąc w przeciwną stronę około dwieście metrów za podwórzem był sklep spożywczy i centrala miejscowej spółdzielni. A sto metrów od osady zaczynał się las, piękny stary drzewostan z mnóstwem jagód i grzybów. Okolice była bardzo ładna, położenie idealne: na uboczu, ale wszędzie niedaleko. Najbliżsi sąsiedzi to kilka małych gospodarstw nad jeziorem po naszej stronie. Przyszło nam tu mieszkać całe 19 lat i dobrze się czuliśmy. Z początku miejscowi ludzie nie darzyli nas zaufaniem. Sądziły, że jesteśmy "zza Buga". Środowisko pomorskiej wsi było dość hermetyczne i niechętnie akceptowało przybyszów z dalszych stron. Później, z biegiem lat uprzedzenie to łagodniało, lecz wówczas, w 1947 roku, występowało w tych stronach wyraźnie.

Nadleśnictwo nie należało do dużych, liczyło ponad 5 200 ha. Było tam sześć leśnictw, z czego pięć w jednym kompleksie, a szóste oddalone o ponad 10 km i położone na uboczu. Kompleks główny stanowił pierścień lasów okalający ze wszystkich stron trzy duże wsie: Sucha, Cierplewo i Glinki. Od zachodu granicę stanowiła rzeka Brda oddzielająca lasy sąsiednich nadleśnictw - Różanna i Zamrzenica. Pozostały teren leśny okalały zewsząd pola. W okolicy było kilka jezior, ziemie na ogół niezłe, wsie zamożne. Same lasy należały do najpiękniejszych partii Borów Tucholskich. Przeważała oczywiście sosna o bardzo dobrej jakości. W domieszkach rósł dąb, świerk i brzoza. Teren zróżnicowany, urozmaicony łąkami, bagnami, jeziorkami. Bardzo dobre warunki bytowe dla zwierzyny. Było tam sporo jeleni, sarn i dzików, a w partiach przypolnych również zajęcy. Położenie i kształt głównego kompleksu sprawiały, że zwierzyna miała zawsze blisko do pól, gdzie nocami żerowała, czyniąc rolnikom dotkliwie szkody w uprawach. Zwłaszcza Leśnictwo Brzozowo słynęło z obfitości jeleni i dzików.

NADLEŚNICTWO BYŁO DOBRZE ZORGANIZOWANE

Jako jednostka administracyjna, nadleśnictwo było dobrze zorganizowane. Wszystkie leśnictwa miały własną łączność telefoniczną przez centralkę w nadleśnictwie, co umożliwiało prowadzenie telefonicznych konferencji jednocześnie z wszystkimi leśniczymi. Drogi były w dobrym stanie, a przez znaczną część głównego kompleksu przebiegała szosa o tłuczniowej nawierzchni. Na terenie nadleśnictwa znajdował się państwowy tartak w Bruchniewie i składnica przykolejowa. Wszystko to bardzo ułatwiało zarządzanie gospodarką leśną, tym bardziej że personel terenowy - kadra techniczna - reprezentowała wysoki poziom fachowy. Nadleśniczym był od dwóch lat inż. Franciszek Kozieł. Z pochodzenia góral, przedwojenny absolwent Wydziału Leśnego Uniwersytetu Poznańskiego. Do wojny był nadleśniczym w Osusznicy na Kaszubach. Człowiek stanowczy, może nieco uparty, nie pozbawiony swoistych - nie dla każdego miłych - cech



Załoga Nadleśnictwa Świątkówko latem 1954 roku. Siedzą od lewej: leśniczy Aleksander Rekowski, leśniczy administracyjny Michał Sokołowski, nadleśniczy Edward Bartol, leśniczy Bogusław Jeszke, księgowy Tadeusz Flatow. Stoją od lewej: leśniczy Julian Chład, leśniczy Alfons Lamparski, leśniczy Andrzej Dziąg i leśniczy Janusz Szymanowski. Fot. archiwum Michała Sokołowskiego

charakteru. Świetny leśnik i zamiłowany rolnik chętnie pracujący fizycznie. Najlepiej czuł się na polu przy uprawie swoich kilku hektarów ziemi deputatowej. Wielką przyjemność sprawiało mu oranie, bronowanie, siewy itp. Biura nie lubił i był zadowolony, gdy się przekonał, że może mi zaufać, powierzając samodzielnie niemal prowadzenie większości spraw służbowych. Nie wtrącał się wiele i akceptował moje decyzje, zostawiając dla siebie tylko najbardziej zasadnicze sprawy. W dobrze zorganizowanym i prowadzonym nadleśnictwie nie było wówczas nawału pracy, jako że księgowość była prosta, a szał biurokracji miał nadejść dopiero za kilka lat. W biurze pracowały trzy osoby i to najzupełniej wystarczało.

Państwo Kozieliowie byli małżeństwem bezdzietnym. Z czasem zaprzyjaźniliśmy się i przyjaźń ta trwa do dzisiaj, już tylko z panią Władysławą, bo Franciszek zmarł w 1976 roku w Żarach koło Żagania. Byłem na pogrzebie tego zacnego człowieka. Zżyłem się bardzo z kolegami leśniczymi, wśród których byłem przez szereg lat najmłodszy. Ich sylwetki zachowałem w pamięci. W Leśnictwie Brzozowo był Andrzej Dziąg, absolwent Szkoły Leśnej w Margoninie, człowiek gołębiego serca i wielkiej uczciwości, przy tym pracowity i szczery. Nie interesował się w ogóle łowiectwem i nawet broni nigdy nie miał. Z Brzozowa przeniesiono go później do Nadleśnictwa Chełmno. Zmarł na emeryturze w Bydgoszczy w roku 1988.

KOLEDZY LEŚNICY

Pod koniec 1961 roku przybył do Leśnictwa Brzozowo leśniczy Mieczysław Wronkowski, przeniesiony z Nadleśnictwa Jachcice z Bydgoszczy, doświadczony leśnik, sumienny i obowiązkowy, przy tym koleżeński i towarzyski. Pasował do naszego grona i spotkał się z serdeczną akceptacją tutejszych leśników. Pracował w Brzozowie do końca września 1969 r.

W Leśnictwie Rudno leśniczym był Alfons Lamparski, również absolwent Margonina. W czasie wojny pewien czas spędził w lasach Bawarii i powrócił zauroczony tym krajem i jego obyczajami. Zawołany myśliwy, lubił polować sam i niezbyt chętnie widział, gdy ktoś obcy nawiedzał jego teren. Był dobrym fachowcem, szczególnie starannie opracowywał dokumentacje, czyli tzw. papierki. Nosił się zawsze elegancko i godnie. Rodzinę miał dość liczną, chyba trzy córki i tyleż synów. Przeniesiony do Nadleśnictwa Bydgoszcz, zmarł jako leśniczy Leśnictwa Emilianowo w latach sześćdziesiątych. Opracował własną metodę żywicowania, opartą na zależności wycieku żywicy z nacięć od faz księżycy. Na jego miejsce do Leśnictwa Rudno wprowadził się latem 1954 roku leśniczy Józef Zmarzlak zatrudniony uprzednio w Nadleśnictwie Sarnia Góra, człowiek młody i energiczny. Przez ożenek z panią Zofią Zomkowską wszedł do sławnej rodziny leśników Zomkowskich. Senior tego rodu, Leonard, legendarny leśniczy

"dawnego autoramentu", zapisał się chlubnie w dziejach toruńskiego leśnictwa, gdy podczas okupacji niemieckiej z narażeniem życia czynnie wspomagał akcje bojowe i wywiadowcze grup partyzanckich w lasach Nadleśnictwa Ruda. Nazwisko rodziny leśników Zomkowskich wymieniane jest często w literaturze historycznej tego regionu z okresu lat II wojny. Józef Zmarzlak dał się również poznać nie tylko jako dobry leśnik i myśliwy, ale też przyjazny i serdeczny dla całego otoczenia człowiek. Takim też został w naszej pamięci. Wiosną 1979 roku odszedł do Krainy Wiecznych Łowów. Tradycje ojca i dziada przejął najstarszy syn Roman, kolejny leśnik w rodzinie.

Leśnictwo Sucha prowadził Bogusław Jeszke, pochodzący z tego regionu przedwojenny leśniczy, absolwent Margonina. Był znakomitym fachowcem i organizatorem, a przy tym przełożonym bardzo wymagającym i drobiazgowo dokładnym. Nic więc dziwnego, że Leśnictwo Sucha zawsze było wzorem dla innych, a leśniczy zbierał zasłużone pochwały. Sam Boguś występował zawsze z wielką godnością i powagą, umiał też być towarzyski i pogodny. Był ogólnie szanowany, liczone się z jego zdaniem, zawsze też zastępował nadleśniczego podczas jego wyjazdów, urlopów itp. Był również dobrym, etycznym myśliwym o starych, doświadczeniach ugruntowanych zasadach. Nie ma już dzisiaj w ogóle ludzi tego pokroju, którzy potrafili łączyć wysoki poziom wiedzy fachowej z wielkim poczuciem odpowiedzialności i ambicją zawodową. Ożeniony z wdową po sekretarzu sąsiedniego Nadleśnictwa Wierzchlas, który został rozstrzelany przez Niemców w 1939 roku, razem prowadzili gościnny dom i dość często odwiedzaliśmy się wzajemnie. Zmarł na emeryturze w Koronowie w końcu lat siedemdziesiątych.

W Leśnictwie Bruchniewo urzędował pochodzący z Poznańskiego Aleksander Rękosia, który na tym stanowisku pozostawał nieprzerwanie od 1918 roku. Stanowił bardzo ciekawy typ człowieka posługującego się niemal całkowicie tylko wiedzą praktyczną, własnym doświadczeniem i sprytem życiowym. Te walory pozwalały mu prowadzić dość trudne leśnictwo i z każdych kłopotów wybrnąć, co nierzadko miało miejsce, jako że lubił od czasu do czasu zajrzeć do kielicha. Wobec dokumentacji (obliczenia zarobków, wykazy drewna, sprawozdania itp.) bywał bezradny. Z czasem zyskał we mnie wiernego pomocnika w tych sprawach, za co się rewanżował pomagając mi w zwózce siana z łąki, drewna na opał itp., posiadał bowiem dwa dobre konie i furmana (Łotysza zbiegłego z niewoli, któremu zapewnił trwały azyl w leśniczówce). Aleksander był człowiekiem nadzwyczaj towarzyskim, uczynnym i szczerym. W czasie wojny stracił dwóch synów, pozostała mu tylko córka - "oczko w głowie". Żona ustawnie chorowała, zmarła w latach sześćdziesiątych. Ożenił się ponownie i zmarł na emeryturze w Zamościu koło Rynarzewa w domu swej drugiej żony w roku 1970.

Julian Chład był leśniczym w Leśnictwie Sielanka. Piękne to leśnictwo i z nazwy i z położenia wzdłuż malowniczej rzeki Brdy, jak również ze wspaniałych drzewostanów. Julcio Chład pochodził spod Częstochowy, ukończył przed wojną Szkołę Leśną w Cieszynie, następnie pracował w różnych lasach, w tym też w Białowieży. Obdarzony zawsze dobrym humorem i sarmacką fantazją, bywał duszą towarzystwa. Potrafił z zacięciem i swadą opowiadać swe przeżycia, z zapalem bawił damy, tańczył wspaniale, a i od kielicha nie stronił. Wszędzie bywał serdecznie i z radością podejmowany. Dobry myśliwy, posiadał rzadką wówczas umiejętność wygrywania na trąbce sygnałów łowieckich, więc jako trębacz bywał zapraszany na reprezentacyjne polowania do innych nadleśnictw naszej dyrekcji. Byliśmy długo w kontakcie z sobą. Julek zmarł w roku 1992 na emeryturze we wsi Sucha opodal Sielanki, w domu, który sobie tam wybudował.

No i ostatnie, szóste Leśnictwo Branica, gdzie był początkowo awansowany z gajowego leśniczy Modrakowski. Po paru latach przeniesiono go w inne strony, a Leśnictwo objął Janusz Szymanowski i od wtedy przestałem być najmłodszy w tym gronie, gdyż Janusz jest o całe cztery lata młodszy ode mnie. Człowiek to energiczny, z wielką pasją do łowiectwa i motoryzacji. Jako pierwszy sprawił sobie motocykl, kilkakrotnie zmieniał te pojazdy, w końcu nabył samochód. Z uwagi na oddalenie jego leśnictwa od naszej "bazy" dobry środek komunikacji był mu niezbędny. Hodował też z zamiłowaniem dobre psy dzikarze. Przeżyliśmy razem wiele przygód łowieckich. Zżyliśmy się z sobą i przyjaźń ta pozostała do dzisiaj. Odwiedzałem Państwo Szymanowskich dość często, jeszcze w latach osiemdziesiątych, gdy był nadleśniczym terenowym w Wierzchlesie i jeździłem tam na łowy do obwodu będącego pod zarządem naszej dyrekcji. Nie pracuje już, osiedlił się w Tucholi.

Poświęciłem nieco miejsca kolegom, z którymi przez 19 lat współpracowałem codziennie, i którzy byli mi bliscy jak bracia. Łączyły nas - oprócz pracy - wspólne troski i radości, wspólne przeżycia ze strzelbą w kniei i z kielichem przy stole. Pomagaliśmy sobie wzajemnie i zawsze mogliśmy na siebie liczyć. Należy się więc im chociaż to krótkie wspomnienie. (...)

Michał Sokołowski

Z PERSPEKTYWY WIEKU

Gdy z perspektywy przeżytego całego już prawie wieku (mam 94 lata) spojrzę na drogę, która wiodła mnie przez te przeróżne krainy i miejsca, widzę za sobą szmat czasu, wrażeń i przeżyć, wycinek fragmentów historii ojczystego Kraju, jego lasów oraz ludzi związanych ze mną zawodem, przyjaźnią, wspólną troską o trwałość skarbów naszej przyrody. Składam cześć Braci Leśnej!

Patrzę na mnie oczy Ojca, zasłużonego leśnika z rodzinnej leśniczówki w Korzeniu (Nadleśnictwo Łąck na Mazowszu Płockiem), dzięki któremu las stał się treścią mojego życia. Z mroków pamięci wyłaniają się obrazy Korzeńskiego Lasu, Lasów Duninowskich i najlepiej mi znanych kniej Kociewia, Borów Tucholskich, Wielkopolskich Pałuk i Pojezierza Brodnickiego. Okresowe pobyty na tak rozległym obszarze dawały mi niecodzienną sposobność poznawania drzewostanów i zespołów leśnych, rosnących w nieco odmiennych warunkach klimatycznych, siedliskowych i biocenotycznych. Były to okoliczności nadzwyczaj cenne i pomocne w mojej pracy terenowej.



Inżynier Michał Sokołowski, rok 2009.
Fot. Tadeusz Chrzanowski

Równie cenne były dla mnie obserwacje folkloru mieszkańców tych ziem: Kociewiaków, Borowiaków, Kaszubów, Pałuczian... Różnili się charakterystyką zdobnictwa, strojami, tradycjami, obyczajami, nawet gwarą. Nie sposób było przejść obok tych skarbów bez utrwalenia ich w sercu i pamięci...

Nie byłbym sobą, gdybym przy okazji tych zwierzeń nie dotknął też romantycznej strony naszego zawodu, która – jak każdemu leśnikowi – towarzyszyła mi przez lata na co dzień. Wszak inaczej widzi się i odczuwa w przyrodzie nastroj i czar każdej nastającej pory roku. Te przeżycia pozostają w pamięci, mimo że leśnicy na ogół niewiele o tym mówią, boć to dla nas banał, „chleb powszedni”. Lecz tym razem nie chciałbym tego pominąć.

Innych, lecz może jeszcze mocniejszych wrażeń, doznawałem wobec śmierci drzewa. Następowiała zawsze tak samo: trzask odrywającej się od pnia kolumny stuletniej sosny, szum gałęzi padającej korony, jęk uderzenia kolosa o ziemię i jakby westchnienie pożegnania... Cichnące echo i... żal, że tuż obok skończyło się wspaniałe życie... Zawsze robiło to na mnie wielkie wrażenie. Nie dziwota więc, że jak mogłem, unikałem asystowania przy tych dramatach. A jakże często trzeba było być przy tym!

Na terenie lasów Toruńskiej Dyrekcji zostawiłem 39 lat swego dorosłego życia, z czego 30 lat w służbie terenowej i 9 lat za oknem gmachu Dyrekcji w Toruniu, przy ulicy Mickiewicz 9, „Pod Niedźwiedziami”. Wspomnienia swoje z minionych czasów zawarłem w pracy pt. „Przeżyłem z lasem tyle lat...” przygotowanej w roku 1996 na konkurs literacki Polskiego Towarzystwa Leśnego. Praca ta była swego czasu publikowana w kwartalniku „Biuletyn Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu”. Obecna, książkowa edycja tego opracowania jest dla mnie największym wyróżnieniem. Dedykuję ją rodzinie, przyjacielom, leśnikom, a także pamięci nieobecnych już najbliższych mi Kolegów w pracy i życiu, niezadługo do nich dołączę. Wszakże i tam, w Krainie Wiecznych Kniej leśnicy są – ponoć – też potrzebni!

Michał Sokołowski

Toruń, we wrześniu 2018 roku